

J. S.

---

## Z zapisków pruszkowskiego akowca

---

Przegląd Pruszkowski nr 2, 35-62

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Z zapisków pruszkowskiego akowca

*Jesteśmy silni - nie orężem,  
Lecz wolą twardą, nieugiętą  
I świadomością, że walczymy  
Za sprawę świętą.  
[Autor nieznany: "Niewyciężeni"]*

### Przydługi początek

Poszanowania swego kraju i ofiarności dla niego trzeba się nauczyć, trzeba się nauczyć być Polakiem.

Początkiem tej nauki dla mnie była przynależność od ósmego roku życia do "Zuchów", będących jakby przedszkolem harcerstwa. Wspólne wycieczki, zabawy w "podchody", czy musztra na zbiórkach, wyrabiały u dzieciaków samodzielność, dyscyplinę i odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale i za swych podwładnych kolegów. Pogadanki na zbiórkach kształtowały nasze charaktery w duchu poszanowania tych ludzi, którzy wywalczyli narodowi wolność po wieloletniej niemiecko-rosyjsko-austriackiej okupacji.

Jeśli dodać do tego klimat, wytworzony przez rodzinę, poczynając od ojca mającego wspomnienia i pamiętki z rozbrajania Niemców w Warszawie w listopadzie 1918r. i z obrony Warszawy w 1920r., opowiadania dziadka - legionisty, czy też wyblakłe, pożółkłe fotografie pradziadków zesłanych wraz z rodzinami na Sybir za udział ich i ich żon w powstaniu 1863r., wszystko to wyrabiało przekonanie i świadomość, że wywalczenie i zachowanie niepodległości wymaga wiele trudu, wyrzeczeń i ofiar, i że słowo "Polska" nie tylko pisze się przez duże "P", ale tak się również czuje i myśli, choć rzadziej mówi.

W dwa lata później zostałem harcerzem, a po zdaniu egzaminu na "młodzika", w 1937 roku złożyłem pierwszą w życiu przysięgę.

Było nas kilkunastu, podchodziliśmy trójkami do pochylonego sztandaru naszego hufca i kładąc dwa palce na jego drzewcu powtarzaliśmy za naszym hufcowym Piotrem Relugą (nauczycielem łaciny w naszym gimnazjum w Prużaniu) słowa przyrzeczenia harcerskiego: "Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu".

Hufcowy w dziurkę klapki lewej kieszonki wpinał nam harcerskie krzyże i wręczał zielone harcerskie legitymacje.

Ze wszystkich dziesięciu przykazań harcerskich do dziś zapamiętałem tylko trzy, które nic nie straciły na aktualności:

- Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy.
- Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać,
- Harcerz nie pije, nie pali i nie używa napojów alkoholowych.

Wprawdzie picia w tamtym okresie nie było, ale z paleniem bywało różnie.

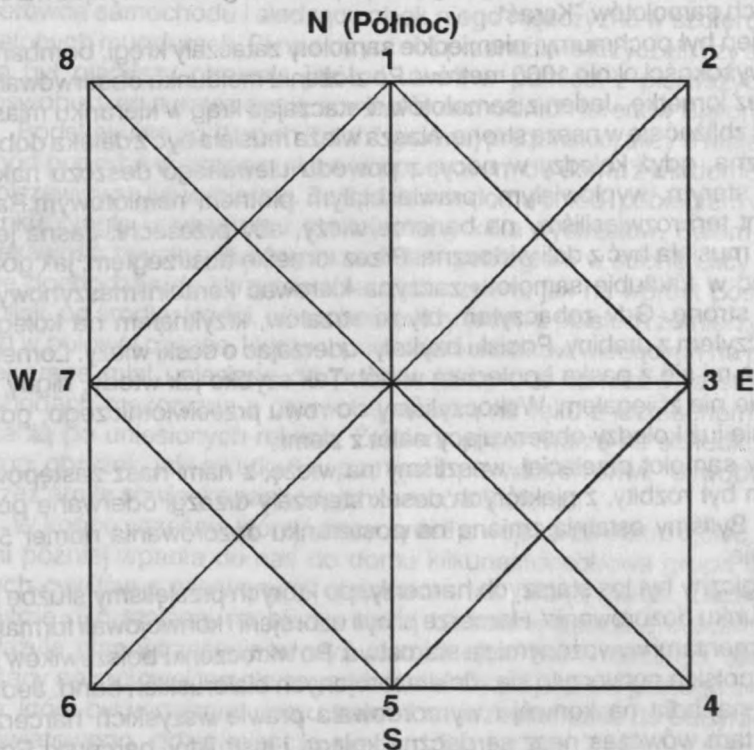
Zbliżająca się wojna 1939r. wciągnęła harcerzy do pomocniczej służby na rzecz armii. W marcu 1939r., gdy ogłoszono pierwszą mobilizację w budynku seminarium nauczycielskiego w Prużanie (które ukończył między innymi Piotr Jaroszewicz, późniejszy generał i premier PRL) zrobiono składy mundurowe. Harcerze razem z żołnierzami w dzień i w nocy pilnowali tych magazynów. W dzień zmobilizowanym żołnierzom wydawało się sorty mundurowe. Ja wydawałem pasy i ładownice, broń wydawali żołnierze służby czynnej. Niektórzy z nas spełniali również rolę łączników, rozwożąc na rowerach mniej ważne meldunki.

Po wybuchu wojny, nasza drużyna w niedzielę 3 września 1939r. została włączona do służby obrony przeciwlotniczej, przejmując służbę na tak zwanym posterunku dozorowania. Kilka słów na ten temat, dla zobrazowania, jak wyglądała na najniższym szczeblu organizacja służby obserwacyjnej obrony przeciwlotniczej.

Na wzgórzu, na skraju Prużany, została zbudowana wysoka na dwa piętra drewniana wieża, podobna do takich, jakie się stawia na punktach wysokościowych służących do pomiarów topograficznych kraju. Na wieży na stoliku stał aparat telefoniczny, leżała wojskowa mapa sztabowa okolicy oraz - co najważniejsze - tablica do przekazywania kodem kierunku przelotu zaobserwowanych samolotów. Prócz tego była lornetka oraz książeczka z fotografiami i sylwetkami samolotów polskich, niemieckich i czechosłowackich, jak również angielskich i francuskich. Sylwetek samolotów polskich i niemieckich musieliśmy się nauczyć na pamięć. Służba trwała 24 godziny, na wieży zmienialiśmy się co 2 godziny. Kto był wolny, mógł odpoczywać w stojącej w pobliżu stodole, gdzie mieliśmy swój "magazyn żywnościowy", to jest pudła z prasowaną z cukrem wojskową kawą zbożową (która była doskonała również do gryzienia na "sucho") oraz smakowite wojskowe suchary z kminkiem. Oczywiście, każdy przynosił sobie również z domu jakieś jedzenie. Kawę przyrządzaliśmy w pobliskim domu.

Dowódcą zmiany na wieży był ten, kto najlepiej znał na pamięć sylwetki samolotów (do takich i ja należałem). Po zauważeniu samolotu nadawało się przez telefon meldunek treści następującej: "Tu posterunek dozorowa-

nia numer 5, niemiecki samolot Dornier 215 (lub samolot polski, czy nierozpoznany), wysokość 2000m (określana na oko), kierunek 15, nadał Szczęsny". Kierunek lotu samolotu odczytywało się na podstawie tablicy kodowej następująco: Jeśli samolot leciał z północy na południe wprost na nas, był to kierunek "15" (patrz rys.1), jeśli leciał nad nami z południa na północ, był to kierunek od "5" do "1", czyli "51". Jeśli leciał skośnie z naszej prawej strony, był to kierunek "13" i tak dalej. Kto od nas odbierał meldunek, gdzie się znajdował nasz rozmówca, który odpowiadał tylko: "Jeden Dornier, kierunek 15, przyjąłem" - tego nie wiedzieliśmy. Przypuszczam, że nadawane w czasie wojny przez radio krótkie komunikaty jak: "Uwaga, uwaga nadchodzi, KO MA 23" oznaczały kierunek nadlatujących nad jakieś ważne obiekty niemieckich samolotów, a litery KO MA były kryptonimem typów i ilości samolotów.



**Tablica kodowa do określania kierunku lotu samolotów**

Początkowo posterunek dozorowania obsługiwali harcerze starsi wiekiem, którzy w gimnazjum przechodzili szkolenie w ramach przysposobienia wojskowego. W niedzielę 3 września dali tym chłopcom wojskowe płaszcze i czapki-maciejówki przysposobienia wojskowego oraz stare francuskie karabiny Lebella ze strasznie długą lufą, pod którą mieścił się magazynek na naboje. Harcerzy tych posłano na rogatki Prużany, gdzie pełnili służbę wartowniczą na skrzyżowaniach ważniejszych dróg przelotowych.

Kilkakrotnie nadawaliśmy meldunki o lecących polskich, niemieckich lub nierozpoznanych samolotach. Nasza "zabawa w wojsko" skończyła się po kilku dniach (około 10 września), kiedy z kierunku "75" nadleciało 6 niemieckich samolotów Heinkel 111 i rozpoczęło bombardowanie odległych o 6 kilometrów koszar 25 Pułku Ułanów Wielkopolskich i 20 PAL oraz pobliskiego lotniska polowego, gdzie poprzedniego dnia wylądowało 12 polskich samolotów "Karaś".

Dzień był pochmurny, niemieckie samoloty zataczały kręgi, bombardując z wysokości około 1000 metrów. Po złożeniu meldunku obserwowałem je przez lornetkę. Jeden z samolotów, zataczając krąg w kierunku miasta, zaczął zbliżać się w naszą stronę. Nasza wieża musiała być z daleka dobrze widoczna, gdyż koledzy w nocy, z powodu ulewanego deszczu nakryli wieżę starym, wyplowiałym, prawie białym płótnem namiotowym. Rano brezent ten rozwiesiliśmy na barierce wieży, aby przesechł. Jasna jego plama musiała być z dali widoczna. Przez lornetkę dostrzegłem, jak górny strzelec w kadłubie samolotu zaczyna kierować karabin maszynowy w naszą stronę. Gdy zobaczyłem błyski strzałów, krzyknąłem na kolegę i zeskoczyłem z drabiny. Pociski bzykały, uderzając o deski wieży. Lornetka zerwała mi się z paska i poleciała w dół. Tak szybko jak wtedy, nigdy po drabinie nie zbiegałem. Wskoczyliśmy do rowu przeciwlotniczego, gdzie skryli się już koledzy obserwujący nalot z ziemi.

Gdy samolot przeleciał, weszliśmy na wieżę, z nami nasz zastępowy. Telefon był rozbity, z niektórych desek sterczały drzazgi oderwane pociškami. Byliśmy ostatnią zmianą na posterunku dozorowania numer 5 w Prużanie.

Tragiczny był los starszych harcerzy, po których przejęliśmy służbę na posterunku dozorowania. Harcerze ci byli uzbrojeni i konwojowali furmanki z dokumentami wywożonymi ze starostwa. Po wkroczeniu bolszewików na tereny polskie potworzyło się wiele uzbrojonych białoruskich band. Jedna z nich napadła na konwój i wymordowała prawie wszystkich harcerzy. Zginął tam wówczas nasz serdeczny kolega i instruktor harcerek Edek Władzimirow.

19 września rano wracałem z piekarni, trzymając pod pachą wielki bochen razowego chleba. Na rynku, koło pruzzańskich sukienic, widziałem idących środkiem ulicy dwóch polskich żołnierzy. Szli powoli, bez broni, w rozpiętych płaszczach, jeden w czapce polowej, drugi z gołą głową. Widocznie wracali z wojny do swoich domów. Byłem już blisko naszego domu, gdy zobaczyłem szybko jadący główną ulicą ciężarowy samochód wyładowany ludźmi. Zwolnił, przejeżdżając przez drewniany most na Muchawcu. Na skrzyni stali mężczyźni w cywilnych ubraniach, z czerwonymi opaskami na lewym ramieniu. Byli bardzo różnorodnie uzbrojeni. Widok jak na obrazkach z rewolucji rosyjskiej 1917 roku. U jednych sterczały na karabinach słynne rosyjskie sztyki (bagnety), u innych dubeltówki, szable, rewolwery zatknięte za pasek. Jeden z nich, oparty o sfoferkę, trzymał w rękach czerwoną chorągiew, na której białymi literami był wymalowany jakiś napis. Bolszewicy. Ale nie wojsko, miejscowi. Tylko kierowca samochodu i siedzący obok niego mężczyzna w sfoferce byli w zielonych mundurach. Ci na skrzyni coś przeraźliwie krzyczeli, czy śpiewali. To był pierwszy obrazek, jaki mi utkwił w pamięci z pierwszych chwil "oswobodzenia przez armię sowiecką zachodnich terenów Białorusi".

Podskakując po "kocich łbach" głównej pruzńskiej ulicy 3 Maja, samochód popędził w stronę rynku a ja popędziłem do domu z wiadomością, że bolszewicy są już w mieście. Zostawiłem w domu chleb i pobiegłem w stronę rynku. Nagle usłyszałem z tamtej strony kilka wystrzałów. Bałem się, ale ciekawość zwyciężyła. Małym zaułkiem pobiegłem w stronę ulicy 3 Maja. Nie dochodząc do skrzyżowania, zobaczyłem, jak na wprost posterunku policji, po środku jezdni, nieruchomo leży jeden z polskich żołnierzy. Drugi, ten w polowej czapce, klęczy u podnóża schodków wiodących na posterunek, ręce miał uniesione do przodu, jakby coś tłumaczył, a stojący na schodach mężczyzna z czerwoną opaską na rękę z rozmachem ciął go szablą po uniesionych rękach. Żołnierz upadł twarzą na schodki. To był drugi obrazek, jaki mi utkwił w pamięci z pierwszych chwil "oswobodzenia przez armię sowiecką zachodnich terenów Białorusi".

W końcu września którejś nocy wrócił z wojska do domu ojciec. W dwa dni później wpadła do nas do domu kilkunastoosobowa grupa uzbrojonych cywilów z czerwonymi opaskami - tak zwana milicja. Zaczęli robić rewizję. Do stojącej na biurku dużej blaszanej puszki z cukrem matka zdążyła niepostrzeżenie włożyć pistolet ojca. Nie znaleźli go, ale zginął leżący na stołowej lampie zegarek matki. Ojca i jeszcze jednego znajomego, który był w naszym domu, zabrali na przesłuchanie do budynku sądu powiatowego, gdzie mieściła się siedziba NKWD. Z tego przesłuchania ojciec wrócił po dwóch tygodniach. W międzyczasie zostaliśmy wyrzuceni z mieszkania, gdzie w pomieszczeniach biurowych ojca urządziła sobie

siedzibę wojskowa prokuratura. Mogliśmy zabrać tylko tyle rzeczy, ile zmieściło się na jednej furgance. Zamieszkaliśmy na peryferiach Prużany u znajomych, w małej wiejskiej chałupce.

W połowie lutego 1940r., późnym wieczorem, przyszedł do ojca jego były pracownik, wysoki i zasuszony pan Paniuticz, który uważany był za zacieklego komunistę. Obecnie piastował jakąś funkcję w jednym z miejskich komitetów. Uprzedził ojca, że jesteśmy na liście osób przeznaczonych na zsyłkę. Tej samej nocy ojciec wyszedł z domu, miał się przedostać do Brześcia do znajomych, gdzie mieliśmy się spotkać i wszyscy razem przejść przez "zieloną granicę" do Generalnej Guberni, do Brwinowa, gdzie był nasz rodzinny dom. Więcej ojca nigdy nie zobaczyliśmy, przepadł bez wieści. Były wprawdzie jakieś sygnały, że ktoś go widział w Moskwie na Łubiance, że był w Archangielsku, ale nic nie udało się potwierdzić. Następnego dnia matka, brat i ja zostawiliśmy resztkę naszego dobytku i tylko z plecakami wyjechaliśmy do odległego około 100 kilometrów Brześcia.

Przechodząc nocą przez granicę z przewodnikiem, który prócz nas przeprowadzał i inne osoby, wpadliśmy w ręce sowieckich pograniczników. Zabrali nas do brzeskiej twierdzy. Później doszliśmy do wniosku, że przewodnik był na usługach NKWD. Dobrze się stało, że dla ostrożności nie podaliśmy mu naszych prawdziwych nazwisk.

Po wstępnym przesłuchaniu wprowadzili nas do wielkiej sali, gdzie na podłodze, siedząc lub leżąc, spało kilkadziesiąt osób. Zimno, okna bez szyb zabite deskami, przez szpary sypie śnieg. Sala ta, to przedwojenne oficerskie kasyno brzeskiej twierdzy. Strop w centralnym miejscu podtrzymywał metrowej średnicy filar, cały drobno zapisany nazwiskami i datami przetrzymywanych tu ludzi. Szukaliśmy podpisu ojca, ale go nie było. Matka wpisała nasze nazwiska i datę: 24.02.1940.

Prawie codziennie, o różnych porach dnia i nocy, wywoływali po kilka lub kilkanaście osób, każąc zabierać swoje rzeczy. Kilkakrotnie prowadzono nas na przesłuchania. Tłumaczyliśmy, że jesteśmy z Warszawy i że przyszliśmy do Sowietów "za chlebem". Taki wariant tłumaczenia bolszewikom swojej obecności w rejonie granicznym ustaliliśmy wcześniej, biorąc pod uwagę możliwość wpadki. W żadnym razie nie mogliśmy się przyznać, że jesteśmy z Prużany. Na potwierdzenie prawdziwości swego tłumaczenia, mieliśmy jakieś przedwojenne recepty z Brwinowa i Warszawy, także jakieś papiery z nadrukami z Warszawy.

4 marca 1940r. około północy wywołano nas z sali i pod konwojem dwóch wartowników wyprowadzono nas za mur twierdzy. Doprowadzili nas do zamrażanej i grubo zasypanej śniegiem rzeki Bug i kazali "z powrotem wracać do Niemców". Zerwała się akurat bardzo silna zamieć i

dzięki temu Niemcy nas nie złapali. Trudno było iść, śnieg sięgał powyżej kolan, widoczność zaledwie na kilka metrów. Po pewnym czasie zobaczyliśmy kamienne słupki, dzięki którym zorientowaliśmy się, że jesteśmy na szosie do Terespolu. Po dwóch dniach wędrówki (oczywiście z przystankami) byliśmy w Brwinowie.

Jesienią 1940r. zacząłem naukę w Szkole Rzemieślniczej w Pruszkowie, mieszczącej się razem z Handlówką przy ul. Narutowicza. Tam zaprzyjaźniłem się ze starszym od siebie o rok Stanisławem Piotrkowiczem. Łączyło nas wspólne zainteresowanie - lotnictwo. Często bywałem u niego w domu przy ulicy Cedrowej 8. Dom ten znajdował się za murem okalającym teren Fabryki Ołówków "St. Majewski". Był to dom należący do fabryki, jednopiętrowy, drewniany, zamieszkały przez cztery rodziny wieloletnich pracowników firmy. Tam też po pewnym czasie zacząłem otrzymywać do czytania podziemną prasę, tak zwane "gazetki".

Latem 1942r. kolega spytał mnie, czy chciałbym wstąpić do polskiego wojska. Oczywiście, że chciałem. Po kilku dniach ojciec Staśka, pan Stanisław Piotrkowicz przeprowadził ze mną "męską rozmowę" na temat przyjęcia mnie do konspiracji. Zdziwił się, że jestem z rocznika 1926, o rok młodszy od jego syna, Staśka. Wyraził obawę, że ze względu na młody wiek nie będę mógł być dopuszczony do poważniejszych akcji. Byłem jednak wysoki, silny, wysportowany, zaproponowałem więc, że podam ten sam rok urodzenia co Stasiak: 1925, a wszystkie inne dane będą prawdziwe. Pan Piotrkowicz miał wątpliwości, ale dał się przekonać.

Dla pana Piotrkowicza miałem od początku znajomości wiele szacunku i uznania, zarówno ze względu na cechy jego charakteru jak i jego życiową mądrość. Niejednokrotnie w różnych sprawach zwracałem się do niego, zawsze z pełnym zaufaniem i nigdy się nie zawiodłem. Właściwie traktowałem go jak swego ojca, a zbiegiem okoliczności, był z tego samego rocznika co i mój ojciec, to jest z 1896. Od dawna już wiedział kim jestem, skąd przyjechałem.

Któregoś dnia przedstawił mnie szpakowatemu, szczupłemu panu z siwiejącym wąsikiem, był to pan Stanisław Skowronek, również pracownik fabryki ołówków. W domu tym poznałem również kilka innych osób, gdyż przychodzili tam różni ludzie, kupując pędzony przez pana Piotrkowicza bimber i szeptem załatwiając jakieś sprawy. Najczęściej po takich wizytach dostawałem do czytania podziemną prasę, którą często zabierałem do domu, do Brwinowa. Z gazetek tych, niestety, nie mogłem się zorientować jaka organizacja je wydaje, a pytać o to nie chciałem, aby nie być posądzonym o niedopuszczalną w konspiracji nadmierną ciekawość.

Jesienią, pewnego dnia Stasiak powiedział mi w szkole, że za dwa dni, to jest 28 października 1942r. o godzinie 18<sup>00</sup> mamy obydwaj składać



wojskową przysięgę. Gdzie to się odbędzie - dowiemy się bezpośrednio przed wyjściem z domu Staśka.

W dniu tym wcześniej "urwałem się" z mojej drugiej, popołudniowej szkoły, gdzie uzupełniałem wiadomości z zakresu tak zwanej małej matury i poszedłem do państwa Piotrkowiczów. Stasiek już wiedział, dokąd mamy się udać, było to gdzieś na Parceli Nowowiejskiej. Musieliśmy jeszcze wybrać sobie jakieś pseudonimy. Stasiek marzył, aby mieć kiedyś motocykl, dlatego wybrał sobie pseudonim "Norton", była to marka jakiegoś doskonałego motocykla. Przez analogię ja, marzący, aby zostać kiedyś pilotem, wziąłem leżącą na stole kupioną przed kilkoma dniami niemiecką książeczkę "Kriegsflugzeuge" z sylwetkami różnych typów niemieckich, włoskich i anglo-amerykańskich samolotów. Otworzywszy ją trafiłem na stronę, gdzie widniała fotografia pięknego amerykańskiego myśliwca Curtiss-P40 - "Tomahawk".

- Los tak chciał, to będzie mój pseudonim - powiedziałem do Staśka.

Spojrzał na mnie z dezaprobatą i powiedział:

- Jak sobie chcesz, Indianinie.

I tak już zostało.

Po zjedzeniu talerza doskonałego krupniku, przyrządzonego przez zawsze dbającą o nas panią Piotrkowiczową, matkę Staśka, wyszliśmy z domu. Pomimo ciemności trafiliśmy na miejsce spotkania bez trudu, gdyż Stasiek znał już miejsce i osobę, u której mieliśmy się spotkać. Był to nie znany mi jeszcze wówczas pan Czeczot, również pracownik fabryki ołówków. Gdy zastukaliśmy do drzwi w umówiony sposób, gospodarz wpuścił nas do środka. W przedpokoju było ciemno, elektrownia - co często się zdarzało - wyłączyła światło. Idąc po omacku za gospodarzem wąskimi schodami, weszliśmy na piętro. W pokoju był półmrok, za stołem, na którym obok niedużego krzyżyka stała paląca się świeca, siedziało dwóch mężczyzn. Podnieśli się na powitanie i bez słowa kolejno podali nam rękę. Jednym z nich był już znany mi pan Stanisław Skowronek, drugi to krępy, nieznajomy brunet.

Po krótkim zagajeniu przez gospodarza, wyciągnęliśmy ze Staśkiem prawe ręce i kładąc dwa palce na ramię krzyżyka powtarzaliśmy za gospodarzem słowa przysięgi. Z treści jej zapamiętałem tylko to, że mam walczyć aż do ofiary życia i że będę posłuszny Prezydentowi Rzeczypospolitej i Dowódcy Armii Krajowej. Pan Skowronek powiedział na zakończenie kilka słów, między innymi, że zdrada będzie karana śmiercią.

Tak dowiedziałem się, że zostałem żołnierzem Armii Krajowej.

Po harcerskiej, była to druga przysięga w moim życiu, składana na wierność Ojczyźnie i jedyna przysięga wojskowa. Po rozwiązaniu Armii Krajowej w styczniu 1945r., chcąc się jeszcze bić z Niemcami, wstąpiłem

w kwietniu 1945 r. ochotniczo do tak zwanego Ludowego Wojska Polskiego, ale w nim przysięgi na wierność socjalizmowi i braterskiemu Związkowi Radzieckiemu składać nie chciałem. Związek ten i socjalizm w jego wydaniu poznałem już w 1939r. W maju 1945r., gdy była przysięga wojskowa, zgłosiłem się na ochotnika do pracy w kuchni, do obierania kartofli. Po raz drugi, w dniu przysięgi w szkole lotniczej, zgłosiłem się do pełnienia w tym dniu służby wartowniczej. Później, po ukończeniu szkoły lotniczej, już nikt nie zażądał ode mnie składania przysięgi na wierność tym, którym nie dowierzałem.

o Ale wróćmy jeszcze do czasów okupacji niemieckiej. Wkrótce po złożeniu przysięgi dostaliśmy "przydział" do określonej "piątki", to jest sekcji, w ramach której co jakiś czas w różnych miejscach odbywały się spotkania, mające na celu, oprócz przekazywania różnych informacji, szkolenie o charakterze ogólnowojskowym. Kilkakrotnie dostawałem polecenia udawania się na określoną godzinę do domu pana Czeczota, gdzie słuchało się radia Londyn, robiąc z tego nasłuchu notatki. Zdobyte informacje następnego dnia przekazywałem na zebraniach naszej sekcji. Zebrania te często odbywały się w mieszkaniu państwa Piotrkowiczów.

o Początkowo dziwiło mnie trochę, że pan Piotrkowicz, tak zaangażowany w działalności konspiracyjnej, pędzi bimber. Przecież do degradacji polskiego społeczeństwa przez jego rozpijanie dążyli Niemcy, dając wódkę na kartki nawet młodym ludziom. Polskie kierownictwo podziemne ostro tępiło ten proceder, niejednokrotnie przecież bimbrownie były niszczone przez podziemne bojówki. A tu, w siedlisku akowców, jakim była Fabryka Ołówków St. Majewski, w służbowym mieszkaniu, pędzi się bimber, gotując zacier w kotle pochodzącym z polskiej wojskowej kuchni polowej, odpowiednio do tego celu przystosowanym. Sprawa ta wyjaśniła się później, kiedy po skończeniu szkoły rzemieślniczej razem ze Staśkiem rozpoczęliśmy pracę jako ślusarze w tejże fabryce. Z bliska wyglądało to trochę inaczej. Bimbrownia była świetną "przykrywką" do ożywionej działalności konspiracyjnej, jaką prowadzono w tym domu. Nikogo nie dziwiło, że przychodzą tu różni ludzie, często z paczkami lub wypchanymi kieszeniami. Wieczorami czasem granatowi policjanci wpadali "po pół literka" - oczywiście nie płacąc.

o Na podwórku był świetnie ukryty mały magazyn broni. Kilka lub kilkanaście pistoletów, amunicja, czasem granaty. Magazynek ten usytuowany był w takim miejscu i tak był zabezpieczony przed przypadkowym odkryciem, że aby go odnaleźć należało postępować wbrew rozsądkowi, ludzkim przyzwyczajeniom i upodobaniom. Schowek ten wymyślił i wykonał osobiście pan Piotrkowicz. Mankamentem tego magazynku był fakt, że swobodny do niego dostęp możliwy był tylko po ciemku, w nocy. W dzień

było to niemożliwe, bo ktoś z fabryki lub przez okna stojących po drugiej stronie ulicy wysokich, kilkupiętrowych kamienic, mógł podpatrzeć, gdzie się znajduje nasz schowek. Między innymi z tego powodu broń do czyszczenia wyjmowaliśmy późnym wieczorem, gdy było już ciemno.

Bimbrownia pana Piotrkowicza wybawiła nas kiedyś z kłopotliwej sytuacji. Dowódca Sekcji Specjalnej - "Litwin" przyniósł któregoś dnia w teczce nowiutki, prosto ze zrzutów pistolet maszynowy "Sten", wraz z magazynkami załadowanymi oryginalną angielską amunicją. Było to późnym wieczorem. Kociół stał na kuchni, z rurki destylatora cichutko kapwały krople alkoholu, a my zabraliśmy się do czyszczenia "Stena". Widzieliśmy to cacko po raz pierwszy, chcieliśmy poznać jego konstrukcję i działanie. Pan Piotrkowicz włożył do magazynka "Stena" tylko jeden nabój i powolutku przesuwając zamek do przodu demonstrując, jak zamek wybiera nabój z magazynka. Gdy prawie cały nabój był już w komorze nabojej, puścił zamek. Sprężyna zamka była tak silna, a sponka naboju tak czuła, że nastąpił wystrzał. Kula przebiła nogę krzesła i poszła w podłogę. Na schodach wiodących z pierwszego piętra rozległy się szybkie kroki i po chwili ktoś zapukał do drzwi. Złapaliśmy za zawsze będące w pogotowiu "dyżurne" pistolety. Ale okazało się, że to tylko mieszkający na górze sąsiad, portier z fabryki, pan Sawicki, który odezwał się przez drzwi:

- Panie Piotrkowicz, co to, kociół wywalił?

Pan Piotrkowicz szybko podchwycił myśl sąsiada i bez wahania odpowiedział:

- Cholera, wywalił! Nie otwieram drzwi, bo cieknie na podłogę, ale to chyba nic groźnego, pewnie do rana naprawię.

Po skończeniu czyszczenia i schowaniu wszystkiego na miejsce, przed pójściem spać z poobijanego emaliowanego kubka po kolei wypiliśmy po jednym małym łyku:

- Na zdrowie, za pomyślność, abyśmy końca doczekali.

Nocowanie u państwa Piotrkowiczów miało i tę zaletę, że w nieprzewidywanych potrzebach byłem pod ręką.

Wieczorem 10 listopada 1943r. dostarczono do pana Piotrkowicza okolicznościowe plakaciki upamiętniające 25 rocznicę odrodzenia państwowości polskiej.

Nazajutrz, 11 listopada, między godziną 5 a 6 rano były one już porozklejane w różnych miejscach śródmieścia Pruszkowa. Najdłużej przetrwał jeden z nich, niezauważony przez Werkschutz fabryki Mechaników. Plakacik ten był naklejony na zewnętrznej stronie otwartych drzwi portierni fabryki. Dopiero koło południa ktoś drzwi te przytknął i dopiero wówczas przechodzący dwaj Bahnschutze zauważyli polskiego orła naklejonego na drzwiach.



Plakaciki naklejone w dniu 11 listopada 1943 r.  
w śródmieściu Pruszkowa (wielkość naturalna)

Jednakże najlepszą tego typu propagandową robotę wykonali nieznani mi ludzie na Żbikowie wiosną 1944 r., dla upamiętnienia rocznicy 3 maja.

Na kominie nieczynnej już żbikowskiej cegielni, na kiju długości około 2 metrów zamocowano biało-czerwoną flagę. Wykonawca tego, schodząc wnętrzem komina po wmurowanych tam klamrach, wyrwał kilka klamer od samej góry, tak, że nikt nie mógł już wejść na szczyt komina, aby flagę zdjąć.

Niemcy strzelali najpierw z karabinu, chcąc przestrzelić kij, ale jakoś nie mogli trafić. Ustawili w końcu na trójnogu karabin maszynowy, ale i w ten sposób nie dali rady ściąć kija pociskami. Podziurawili tylko flagę. Jeszcze w 1949r., jeżdżąc pociągiem z Brwinowa na Politechnikę do Warszawy, z okien pociągu mogłem przez moment wypatrzeć komin żbikowskiej cegielni ze sterczącym na nim kijem, na którym wisiła wciąż postrzępiona kulami, poszarzała biało-czerwona flaga.

A może żyje jeszcze ktoś z tych naprawdę odważnych ludzi, którzy ją tam wywiesili?

## Króliki u pana Mariana

Wiosną 1943r. "Regis" (Stanisław Skowronek, pracownik Fabryki Ołówków "St. Majewski" w Pruszkowie), dowódca naszego plutonu "1721", powiedział mi, że razem z "Żalem" (Jan Bladowski, również pracownik tejże fabryki, pracujący w stolarni, jako znakomity fachowiec od ostrzenia różnego rodzaju pił do drewna) mamy wraz z dwoma innymi młodymi ludźmi przejść przeszkolenie wojskowe. Później dowiedziałem się, że to była t.zw. Szkoła Partyzanta.

Oznaczonego dnia razem z "Żalem" poszliśmy pod wskazany adres na Parceli Nowowiejskiej. Był to mały drewniany domek, bardzo schludny i zadbane. Zastaliśmy tam gospodarza, jednocześnie naszego nowego dowódcę i wykładowcę. Był to pan Władysław Grobelny, pseudonim "Strońć", również pracownik naszej fabryki. Wcześniej go nie znałem, pracował w graficiarni. Niedługo potem przyszło jeszcze dwóch młodych, nieznanymi nam ludzi, którzy również byli słuchaczami naszego kursu. Niestety, nie znałem ich nazwisk, zapomniałem pseudonimów.

"Strońć" był kapralem, brał udział w wojnie z Niemcami w 1939r. Kiedyś, przy omawianiu techniki walki na bagnety, któryś z kolegów spytał, czy brał udział w takiej walce na bagnety. "Strońć" opowiedział nam wówczas, jak w 1939r., podczas ataku na bagnety, w polu kapusty zwał się ze znacznie potężniej zbudowanym żołnierzem niemieckim. Pomimo zadanej przez Niemca rany w rękę, udało się "Strońciowi" pokonać niemieckiego żołnierza.

"Strońcia" podziwiałem nie tylko jako naszego wykładowcę, ale również jego młodą żonę, która - gdy przychodziliśmy do malutkiego, lśniącego

czystością mieszkanka - z małą córeczką na ręku przechodziła do kuchenki, zostawiając nam pokój do dyspozycji na 2 - 3 godziny. Nigdy złego słowa nie powiedziała, jak zadeptywaliśmy jej czyściutkie, na mahoniowy kolor pomalowane podłogi.

Na jednym z zajęć "Strońc" powiedział nam, że do nauki broni strzeleckiej będziemy mieli niemiecki karabin. Należy go jednak przynieść ze Żbikowa. Miałem to zrobić ja razem z "Żalem".

W połowie października, określonego dnia, udaliśmy się pod wieczór do domu na ulicy Hortensja (za warsztatami kolejowymi), gdzie mieliśmy pytać o "pana Mariana". Jako hasło, mieliśmy pytać, czy pan Marian ma do sprzedania króliki. Jako odzew, miał nam powiedzieć, że szynszyle już sprzedał, zostały mu tylko króle belgijskie.

Znaleźliśmy ten dom, weszliśmy do kuchni. Była szarówka, lampa się jeszcze nie paliła. W kuchni była tylko kobieta w średnim wieku. Spytałem o pana Mariana.

- Marian? Taki tu nie mieszka, chyba się panowie pomylili - powiedziała.

Ze domu nie pomyliłem, byłem pewien. Numer się zgadzał, opis domu również, "Strońc" dokładnie nam go opisał. Spytałem, czy mieszka tu jakiś mężczyzna.

- A co to pana obchodzi, z kim ja mieszkam? - zabrzmiała udzielona mi zniecierpliwionym i ostrym głosem odpowiedź.

W tym momencie otworzyły się drzwi od pokoju i wszedł wysoki, szczupły, ciemny mężczyzna w średnim wieku.

- Panowie napewno do mnie - powiedział. - Wyjdź na chwilę do pokoju - zwrócił się do kobiety. - Ja mam tu z panami krótką sprawę do załatwienia.

Gdy kobieta wychodząc, zamknęła za sobą drzwi, spytałem, czy ma do sprzedania króliki,

- W porządku, panowie. Przepraszam, że nie czekałem na was w kuchni, ale wróciłem z roboty i na chwilę się zdrzemnąłem. Zaczekajcie chwilę, zaraz go przyniosę.

Położył rękę na klamce od sieni, ale obrócił się jeszcze w naszą stronę i powiedział:

- Acha. Tak, tak. Miałem szynszyle, ale je sprzedałem, pozostały mi tylko belgijskie - odpowiedział z uśmiechem.

Odetchnęliśmy z "Żalem" z ulgą. Prawdę mówiąc, ta kobieta trochę mnie zaskoczyła swoją odpowiedzią, ale widocznie, zgodnie z zasadami konspiracji, mąż nie wciągał jej w szczegóły swojej podziemnej działalności.

Po chwili wrócił pan Marian niosąc jakiś stary płaszcz w pozycji "stojącej". Był to niemiecki "Mauser".

- Czy macie pistolety? - spytał nas.

Niestety, nie mieliśmy.

- A czy macie naboje do karabinu? - padło następne pytanie.

Również nie mieliśmy. Wyszedł jeszcze raz i wrócił po kilku minutach.

- Dam wam tylko cztery naboje. Jak go chcecie zabrać? - spytał.

Miałem na sobie na tę okazję pożyczony od brata dość długi, letni, niestety jasny płaszcz, w którym rozerwałem w lewej kieszeni podszewkę, abym mógł trzymać karabin niosąc go pod płaszczem trzymając rękę w kieszeni. Powiedziałem panu Marianowi, jak mam zamiar go nieść. Pan Marian karabin załadował i przekręcił skrzydełko bezpiecznika. Powiedział przy tym, że jak będę miał robić użytek z karabinu, to muszę go odbezpieczyć. Odpowiedziałem mu, że tego typu karabinu nie znam, ale w ogóle to z bronią miałem już przed wojną do czynienia, strzelałem dość dużo z floweru ojca. Pan Marian lekko się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Wziąłem karabin pod płaszcz, kolbą do góry. Niestety, płaszcz był o kilka-nastęce centymetrów za krótki. Na dole, spod płaszczu wystawał kawałek lufy. Ale innego wyjścia nie było, tak trzeba go było nieść, licząc na to, że po ciemku nikt na to nie zwróci uwagi.

Pan Marian popatrzył na nasze - chyba trochę wystraszone - twarze i powiedział:

- Dobrze, pójdę z wami, przeprowadzę was połowę drogi, abym zdążył wrócić przed godziną policyjną. Wy będziecie iść razem, ja przed wami. Jak będzie coś nie tak, idąc po chodniku podkówką obcasa wykrzeszę iskry, wtedy musicie się gdzieś skryć. -

Gdy wychodziliśmy z domu, było już ciemno. Wypróbowaliśmy sygnał podkówką. Widoczny był z daleka. Dochodząc ulicą 3 Maja do przejazdu kolejowego, nie zauważyliśmy nigdzie bahnschutzów, lecz z daleka widać było potężny ogień, jakiś pożar na torach kolejowych przechodzących przez most na Utracie. W blasku ognia widać było również tłum ludzi i duży ruch na tak zwanej Czarnej Drodze, przy mostku dla pieszych. Słychać było również warkot silnika oraz widoczny był silny strumień światła reflektora, oświetlający rzekę przy mostku. Przeszliśmy przez przejazd i przystanęliśmy. Pan Marian poszedł zobaczyć, co się tam dzieje, czekaliśmy pod ścianą dużego, czerwonego narożnego domu. Nasz przewodnik wrócił po kilkunastu minutach. Na torach kolejowych stały dwie kolejowe platformy z płonącą słomą. Koło mostu strażacy ustawili motopompę, oświetlając ją silnym reflektorem i gasili płonące wagony.

Zdecydowaliśmy się iść przez mostek, licząc na to, że w tłumie ludzi nikt nie będzie na nas zwracał specjalnej uwagi i nie zauważy sterczącej spod płaszczu lufy. Pójdziemy pojedynczo, pierszy "Żal", za nim pan Marian, na końcu ja. Spotkamy się zaraz za dwoma domkami stojącymi za mostkiem i pójdziemy wzdłuż Utraty, później polem w stronę ulicy Kościuszki tak, aby wyjść niedaleko budynku poczty i minawszy ulicę Drzymały przejść przez jezdnię i dalej polami w stronę Parceli Nowowiejskiej.

Było ciemno, niebo pochmurne, chwilami kropił drobny deszczyk. Pogoda nam sprzyjała. szliśmy jeden za drugim, w odległości co mniej więcej 10 metrów. Zbliżając się do mostku nieco zwolniłem, aby zrównała się ze mną mała grupka osób idących za mną. Chciałem wplątany w ten tłumek przejść mostek, wiedząc, że i tak wszyscy będą gapili się na płonące wagony. Przechodząc przez mostek widziałem jak matowo błyszczą koniec lufy z muszką celownika. Ale rzeczywiście wszyscy patrzyli na płonące wagony, na uwijających się strażaków i bahnschutzów, również zajętych pożarem. Jeden tylko bahnschutz stał za mostkiem i pokrzykiwał "schneller" na przechodzących. Zrobiło mi się gorąco, ale nie od pożaru. Nie mogłem się cofnąć, za mną szło wiele osób. Z grupką ludzi przeszedłem obok niego. Za domkami skręciłem w stronę Utraty, rozglądając się za "Zalem" i panem Marianem. Pan Marian zobaczył mnie pierwszy, byłem widoczny w swoim jasnym płaszczu.

- Bałeś się, spytał? -

- Trochę - odpowiedziałem, mówiąc nieprawdę. Bałem się bardzo. Chciałem zapalić papierosa, ale powiedział mi, abym się z tym wstrzymał jeszcze trochę, ogień zwraca uwagę.

- Tamten gdzieś się zgubił, jest późno, czekać nie możemy - powiedział pan Marian. - Odprowadzę cię na miejsce - dodał. Szedł wzdłuż rzeki pierwszy, ja za nim. Skręciliśmy w stronę ogrodów i ulicy Kościuszki. Przez jakiś ogród doszliśmy do płotu oddzielającego go od ulicy. Poczta była z prawej strony. W płocie była uchylona szeroka brama.

- Stań tu, za słupem tej bramy, ja przejdę na drugą stronę ulicy, zobaczę czy droga wolna - powiedział pan Marian. Uprzytomniłem sobie, że już od przejścia mostku mówił do mnie "per ty".

Stałem i czekałem. W odległości 2-3 metrów przede mną przesuwały się sylwetki ludzi przechodzących chodnikiem. W pewnej chwili usłyszałem, jak moją stroną chodnika, od strony ulicy Prusa, narasta odgłos miarowych, powolnych kroków. Podkute wojskowe buty. Niemiecki patrol. Zbliżali się. Stałem nieruchomo. Widziałem słaby blask czterech niemieckich hełmów. Szli dwójkami. Płot był mojej wysokości. Powoli schyliłem się, aby ukryć jaśniejszą plamę twarzy - stary harcerski sposób. Pamiętałem, że karabin jest zabezpieczony. Przechodzili koło mnie. Czuję, jak po krzyżu przebiega mi dreszcz a gorąco rozsadza piersi. Nie drgnąłem. Miarowe kroki oddalały się. Uniosłem głowę, zacząłem głęboko oddychać. Po chwili znów było słyhać tylko kroki przechodzących ludzi. Bez ruchu czekałem nadal. Oddychałem głęboko, aby uspokoić szybkie bicie serca. Usłyszałem charakterystyczny skukot podkutyh butów pana Mariana. Tak, to on, przystanął w bramie. Zbliżyłem się do niego.

- Idziemy! - powiedział. - Miałeś szczęście z tym patrolem - dodał.



Przeszliśmy na drugą stronę ulicy Kościuszki w tym mmiejscu, gdzie obecnie jest skrzyżowanie z szeroką drogą wiodącą do Warszawy. Dokładnie w tym miejscu była ta brama, za którą się schowałem.

Przez jakiś ogródek wyszliśmy na pola i poszliśmy w stronę parceli, do domku "Strońcia". Po drodze nie rozmawialiśmy.

Karabin dałem "Strońciowi" w sieni, nie wchodząc już do mieszkania. Szybko się pożegnałem, podziękowałem panu Marianowi za przeprowadzenie mnie.

- Zuch jesteś! - powiedział pan Marian.

Bardzo żałuję, że nigdy więcej go nie spotkałem.

Po tej nocy spałem na Cedrowej 8, u państwa Piotrkowiczów. Do domu, do Brwinowa nie zdążyłem wrócić.

Po blisko pięćdziesięciu latach od tamtych dni, przypadkowo spotkałem "Strońcia" w Pruszkowie, w dniu 28 marca 1992r. na uroczystości związanej z 47 rocznicą aresztowania ostatniego dowódcy Armii Krajowej generała Okulickiego i jego grupy. "Strońć" poznał mnie, ja jego również. Rozmawiając, wspominałem jego żonę, która wykazała dla nas tak dużo zrozumienia. Jestem dla niej pełen uznania za jej cierpliwość, z jaką zносиła i nas w swym domu i patriotyzm swego męża. Dziś jest to osoba starsza, a ówczesne niemowlę ma już drugiego męża.

Przy okazji "Strońć" wspominał, jaki był dalszy los naszego karabinu. Otóż zakopał go w komórce, lecz po wojnie odgrzebał go pies. Zięć ujrzawszy, co pies ze szmat odgrzebuje, nie chcąc nikogo narażać na represje ze strony bezpieki, nic nikomu nie mówiąc, wyniósł ten niemiecki karabin i wrzucił do stawu.

Prawie zawsze wyrzuca się to, co nie jest już potrzebne.

## **Nie wszystko można przewidzieć**

W książce Henryka Witkowskiego pt. "KEDYW Okręgu Warszawskiego w latach 1943-1944" na str. 330, pod poz.315, podany jest następujący zwięzły opis akcji dokonanej przez polskie podziemie:

"W dniu 30.IV.44 o godz.21<sup>30</sup> pięcioosobowy patrol bojowy z OS HELENÓW (Obroza, Rejon VI - Pruszków) w czasie zakładania ładunku materiału wybuchowego w niemieckim kinie w Pruszkowie został zaskoczony przez przechodzących ulicą 2 kolejarzy niemieckich. Doszło do wymiany strzałów, w wyniku której 1 kolejarz został zabity, po czym patrol wycofał się. Dowódca akcji - NN".

Dziś - już bez obawy dostania się w łapy bezpieki - można podać, że akcji tej dokonała Sekcja Specjalna pruszkowskiego AK, pod dowództwem "Litwina". Prócz "Litwina" w akcji tej wzięli udział "Norton", "Sęp", "Brunet" i "Tomahawk".



Od lewej: "Norton" i "Tomahawk" w czasach opisanych tu wydarzeń

"Litwin" - to Juliusz Ostrowski, syn dyrektora pruszkowskiego gimnazium im. Tomasza Zana, średniego wzrostu i silnie zbudowany, o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu i o foremnych palcach skrzypka lub chirurga, w których ładnie leżał jego ulubiony colt. "Norton" - to Stanisław Piotrkowicz (syn), bardzo wysoki (185 cm) i szczupły, o groźnym wyrazie twarzy, zawzięty. "Sęp" - Adolf Bandurski, sympatycznie wyglądający mały, śniady niebieskooki brunet, zawsze z lekka uśmiechnięty. "Brunet" - NN (jego nazwiska nigdy nie znałem), średniego wzrostu, szczupły, nieco ryżawy jasny blondynek o zielono-niebieskich, spokojnych oczach. "Tomahawk" - to ja, wysportowany, wysoki (180 cm), o nie zawsze pogodnym spojrzeniu.

W poniedziałek 24 kwietnia 1944r. do domu państwa Piotrkowiczów (gdzie często i ja przebywałem i niejednokrotnie nocowałem) przyszedł "Litwin" i powiedział Staśkowi (tj. "Nortonowi") i mnie, że należy powtórzyć akcję zniszczenia pruszkowskiego kina, mieszczącego się przy ulicy Kraśzewskiego 28, vis a vis kościoła. Wprawdzie w nocy z 18 na 19 kwietnia jakaś inna grupa zniszczyła aparaturę projekcyjną, ale już po trzech dniach, w sobotę, kino było uruchomione. My mieliśmy z tym kinem zrobić bardziej radykalny porządek.

Dostaliśmy od "Litwina" polecenie zrobienia rozeznania terenu. Następnego dnia, po pracy, na 15 minut przed rozpoczęciem kolejnego seansu, poszedłem do kina i po zewnętrznych żelaznych schodkach przy bramie,

prowadzących do kabiny operatora, chciałem wejść do środka. Świeżo okute żelazną blachą drzwi były zamknięte, gruba żelazna sztaba była opuszczona. Na moje stukanie odezwał się ostry męski głos:

- Kto tam? -

- Przepraszam, że niepokoję - odpowiedziałem - ale zbieram pozrywane kawałki różnych filmów, czy mógłbym coś takiego dostać?

Drzwi się uchyliły. W kabinie było dwóch w średnim wieku mężczyzn. Jeden z nich, trzymając drzwi za klamkę, zagroził mi wejście do środka, drugi majstrował coś przy aparacie projekcyjnym. Zdażyłem tylko zauważyć, że kabina jest mała, wyposażona w dwa aparaty projekcyjne, zamki drzwi od środka są wzmocnione, drzwi od środka również były obite blachą. Wyrzucił mi przez drzwi kilka ścinków filmów i warknął:

- Zmykaj!

Podziękowałem grzecznie, zobaczyłem, co chciałem. Wejście do kabiny było możliwe po przepiłowaniu skobli żelaznej zewnętrznej sztaby i wyważeniu drzwi łomem, gdyż pomimo obitych blachą drzwi, zamki w futrynie nie były zabezpieczone dodatkowymi wzmocnieniami. Wizję lokalną sali kinowej odłożyliśmy na dzień następny. Do kina poszliśmy we dwójkę, ze Staśkiem ("Nortonem"). W czasie okupacji Polacy do kina nie chodzili. Znane były napisy "Same świny siedzą w kinie". Był to jedyny przypadek mojej obecności w kinie w czasie wojny. Ale przecież byłem służbowo, na polecenie swego dowódcy. Siedząc ze Staśkiem na sali rozglądaliśmy się przed rozpoczęciem filmu, chcąc zapamiętać rozkład wnętrza oraz ocenić, czy możliwe jest wejście do środka przez okna lub inne drzwi niż wejście główne, gdyż to, wychodzące na ulicę Kraszewskiego, nie było możliwe do sforsowania w krótkim czasie, tym bardziej, że o kilka domów dalej była willa "z bocianem", gdzie mieściła się niemiecka żandarmeria. Filmu nie oglądaliśmy, gdyż nie pozwalała nam na to polska godność, przesiedzieliśmy tylko czas wyświetlania kroniki, po której była mała przerwa i wyszliśmy z sali przeświadczeni, że jedyna możliwość zdemolowania kina, to ładunek wybuchowy podłożony w kabinie operatora. Złożyliśmy meldunek "Litwinowi"

Następnego dnia "Litwin" poszedł ze mną na "wizję lokalną", aby osobiście obejrzeć teren i ułożyć plan działania. Trudność wykonania zadania polegała głównie na tym, że godzina policyjna obowiązywała od 21<sup>00</sup> ostatni seans kończył się nieco wcześniej. Włamanie się do kina było możliwe tylko po godzinie policyjnej. Należało więc przyjść nieco wcześniej, gdzieś w pobliżu ukryć się, żeby po wyjściu z kina widzów i personelu przystąpić do działania. Naprzeciw głównego wejścia do kina, przed ogrodzeniem, okalającym kościół, były dość gęste krzewy, lecz jeszcze bez liści. Dlatego nie dawały możliwości skutecznego ukrycia się tam przez mniej



**“Cegielka” na dozbrojenie Armii Podziemnej** ną możliwością było ukryć się w jednej z kabinek i przeczekać, aż opustoszeje ulica i wyjdzie personel kina. Dopiero wtedy forsować drzwi do kabiny operatora. Tam podłożyć ładunek wybuchowy, który będzie na tyle silny, że zniszczy zarówno kabinę operatora jak i znaczną część sali kinowej, jednocześnie nie za mocny, aby nie uszkodził za nadto sąsiedniego domu zamieszkałego przez Polaków (dom nr 30). Odskok miał nastąpić przez ulicę Kościelną i bramę posesji Kościelna 11, w kierunku parceli Nowowiejskiej, lub ulicą Kościelną w kierunku ulicy Prusa i ulicy Szczęsnej. Powrót do domu Piotrkowiczów, na ulicę Cedrową 8.

Po dwóch dniach przyszedł do nas na Cedrową 8 “Litwin” i powiedział, że plan akcji został przyjęty, materiał wybuchowy będzie, termin został ustalony na noc z niedzieli 30 kwietnia na 1 maja.

- Może to pójdzie na konto czerwonych, ale my szumu narobimy - dodał “Litwin”.

Przed akcją spotkaliśmy się wszyscy u Piotrkowiczów, około 20.00. Wyczyszczona broń już czekała, colt “Litwinia”, troszeczkę przyrdzewiała, hiszpan dla mnie, trzy parabelki dla “Nortona”, “Sępa” i “Bruneta”. “Litwin” przyniósł w teczce kostkę materiału wybuchowego, detonator, czarny lont

błystawiczny i kawałek lontu niebieskiego, palącego się 10 minut. Tyle czasu mieliśmy na "odskok" z miejsca akcji. Ja wziąłem jeszcze mały tom i dwie piłki do metalu oraz na polecenie "Litwina" małą buteleczkę z olejem, aby zapobiec zgrzytom przy piłowaniu skobla kłódki zamykającej sztabę okutych blachą drzwi kabiny operatora. "Litwin" zaznaczył również, że broni możemy użyć tylko do sterroryzowania, strzelać nie wolno, aby nie było represji na polskiej ludności, broń może być użyta wyłącznie w ostateczności.

Wydawać by się mogło, że wszystko zostało przewidziane w szczegółach. Niestety - okazało się, że nie przewidzieliśmy jednego, ale tego nikt nie mógł przewidzieć.

Wymarsz nastąpił o zmroku, było kilkanaście minut po dwudziestej. Szliśmy oddzielnie, zachowując kontakt wzrokowy. Gdy dochodziliśmy do domu przy ulicy Kraszewskiego 32, akurat ludzie zaczęli wychodzić z ostatniego seansu. Spotkaliśmy się wszyscy dopiero w ubikacji. "Norton", "Sęp" i "Brunet" zamknęli się w jednej z kabin, wyglądając przez okienko na podwórko. "Litwin" i ja wyszliśmy na zewnątrz, na podwórko, aby zaobserwować moment opuszczania kina przez operatorów. Staaliśmy w rzadkich krzaczkach przy płocie oddzielającym podwórko od sąsiedniej posesji. Zza dachu wysokiego domu wyglądał piękny księżyc - była pełnia, niebo bezchmurne. Z ulicy dochodziły słabe, gardłowe niemieckie głosy oraz słychać było stukot podkutych żołnierskich butów. Widocznie ostatni żołnierze wychodzili z kina. W pewnej chwili usłyszeliśmy zbliżający się od furtki głos mężczyzny mówiącego coś po niemiecku i chichot kobiety. Para stanęła pod ścianą domu w odległości około dwudziestu metrów od nas. W świetle księżycy na czapce Niemca widoczna była wielka, błyszcząca "gapa" kolejarza. Po chwili zza rogu wyszedł drugi taki sam Niemiec, chwilę rozmawiali, po czym kobieta odłączyła się od nich i zaczęła się zbliżać w naszą stronę, do krzaków. Przypuszczam, że była to prostytutka, która szła w krzaki wysiusiać się, na co wskazywał gest jaki wykonała rękami. Gdy zbliżyła się do nas na odległość około trzech metrów zobaczyła nas i zaczęła po polsku pokrzykiwać:

- Co to? Kto to? Bandyci!

Byliśmy spaleni. Wskoczyliśmy z krzaków i pokrzykując pobiegliśmy do furtki, aby zwrócić na siebie uwagę obydwóch kompletnie zaskoczonych Niemców, ułatwiając tym samym schowanym w ubikacji kolegom możliwość wycofania się, a nadto zorientować się w sytuacji na ulicy. Było pusto. Przebiegliśmy przed kościołem i wbiegliśmy do bramy domu z czerwonej cegły przy ulicy Kościelnej 11. Tymczasem nasi koledzy, widząc z ubikacji co się dzieje, wyskoczyli na podwórko, biegnąc do furtki. Niestety, w furcie stanął jeden z Niemców. "Norton" swoją parabelą zaczął go walić

po głowie, ale Niemiec był silny. Wprawdzie uderzenia "Nortona" były tak silne, aż w pistolecie wygięła się osłona od spustu, lecz szamotanina nie ustawała. Podskoczył zwinny "Sęp" i jednym strzałem powalił Niemca. Cała trójka przeskoczyła przez znieruchomiałe ciało i bocznymi uliczkami przedostała się na ulicę Cedrową. "Litwin" i ja przez podwórko domu i jakieś opłotki przedarliśmy się na pola parceli Nowowiejskiej. Szliśmy potykając się w brzdach, było przeraźliwie jasno od wysoko świecącego księżyca, musieliśmy być z daleka dobrze widoczni. Zaorane, ale nie zabronowane pole uniemożliwiało nam szybki marsz. Na dodatek, gdy zbliżaliśmy się do domostw, zaczynały szczekać psy, wskazując kierunek naszego marszu. Wszystko tego dnia było przeciwko nam: i prostytutka, i romantycznie świecący pyzaty jasny księżyc, i nawet pies, przysłowiowy przyjaciel człowieka, swoim szczekaniem wskazujący szlak naszego marszu - też przeciwko nam. W końcu dotarliśmy na ulicę Cedrową 8. Gdy zbliżaliśmy się do małej furtki w wysokim fabrycznym murze, dochodziła północ. Ledwie dotknąłem klamki, furtka uchyliła się i ukazał się pan Stanisław Piotrkowicz, ojciec "Notrona".

- Nareszcie jesteście i wy. Nie udało się, trudno. Grunt, że wszyscy zdrowi i cali. -

Omawiając naszą nieudaną akcję, doszliśmy do wniosku, że zaistniała sytuacja uzasadniała użycie przez "Sępa" broni oraz że nie było możliwe do przewidzenia, że polska prostytutka zechce się wysuszać przed bliższym kontaktem z niemieckimi kolegami.

Podobnie i Niemiec nie mógł przewidzieć, że swoje płatne romansowanie z Polką przyplaci życiem.

Rozwścieczony burmistrz Pruszkowa następnego dnia przeniósł początek godziny policyjnej z 21<sup>00</sup> na 20<sup>00</sup>, przez co ostatni seans filmowy mógł być wyłącznie "Nur für Deutsche".

## **Trzeba mieć szczęście nie tylko na ulicy Szczęsnej**

31 lipca 1944r., jak zwykle o godzinie 6 rano, przyjechałem z Brwinowa do Pruszkowa pociągiem elektrycznym. Pracowałem w Fabryce Ołówków "St. Majewski" w warsztacie mechanicznym jako ślusarz.

Na stacji kolejowej widziałem, jak żołnierze niemieccy z czarnymi naszywkami na rękawach z napisem "Hermann Göring Division" rozładowywali z platform kolejowych czołgi i samochody pancerne.

W fabryce, pan Stanisław Piotrkowicz (ojciec), szef kuźni, powiedział mi, że o godz. 8.30 mamy być u niego w domu, gdzie mamy czekać na "Litwin", naszego dowódcę Sekcji Specjalnej. O ustalonej porze przeleźliśmy przez drewnianą bramę wewnętrznego ogrodzenia fabryczn-

go i znaleźliśmy się na podwórku fabrycznego piętrowego domu Cedrowa 8, gdzie na parterze mieszkali państwo Piotrkowiczowie. Po kilku minutach z ulicy, przez furtkę w fabrycznym murze, wszedł "Litwin" z "Sępem". W chwilę po nich zjawił się "Brunet" z "Blondynem". "Blondyn" był naszym nowym towarzyszem broni w Sekcji Specjalnej. Przyszedł on na miejsce "Nortona" (Stanisława Piotrkowicza - syna), który na początku czerwca wyjechał na roboty do Niemiec. Nasza pięcioosobowa Sekcja Specjalna "Litwina" była znów w komplecie.

"Litwin" powiedział krótko:

- Sytuacja jest gorąca, za wszelką cenę musimy zdobywać broń, rozbijając Niemców. W przypadkach niezbędnych można strzelać.

Z kuchni wyszedł pan Piortkowicz z dużą papierową torbą, z której wyjął owinięte w papier i szmaty nasze pistolety. Colt "Litwina", trzy parabellum: "Sępa", "Bruneta" i "Blondyna" oraz mojego przyrdzewiałego hiszpana. Były też zapasowe magazynki. Szybko przejrzeliśmy broń. Była - jak zwykle - wyczyszczona. Tym zajmował się pan Piotrkowicz i ja, robiliśmy to wieczorami.

Każdy z nas brał swój pistolet oraz wkładał do prawej szuflady kredensu swoje dokumenty i różne drobiazgi, które - w razie czego - mogły ułatwić Niemcom identyfikację ich posiadaczy. Ja tym razem swoich dokumentów nie chowałem, zostały one w moim ubraniu w szafce w warsztacie. Ubrany byłem tylko w niebieski fabryczny drelich. Ale ilekroć chowałem swoje dokumenty - zawsze do tej samej szuflady kredensu - czułem przez moment lekki ucisk w gardle i przez głowę przebiegała myśl, czy przyjdę je wziąć z powrotem. Zostawiając dokumenty, stawaliśmy się bezimiennymi "polnische banditen".

Swojego zarepetowanego i zabezpieczonego hiszpana włożyłem za przykładem "Litwina" za pasek swoich drelichowych spodni. Błyskawiczne wyjęcie pistoletu nie sprawiało trudności a luźna drelichowa robocza kurtka doskonale go maskowała.

Przed wyjściem wspomniałem, że na rampie rozładowuje się pancerna dywizja SS "Hermann Göring", więc na razie rejon stacji lepiej ominąć. Z domu wyszedłem z "Litwiniem", za nami "Sęp" a na koniec "Brunet" z "Blondynem". Z ulicy Cedrowej poszliśmy tak zwaną Czarną Drogą w kierunku warsztatów kolejowych a dalej szosą w kierunku Piastowa. Po przejściu ostatniego pruszkowskiego przejazdu kolejowego, gdzie kończyło się ogrodzenie warsztatów, zauważyliśmy w ostatniej bramie warsztatów, wychodzącej na szosę do Piastowa (brama nr 12), stojącego wartownika, niemieckiego kolejarza z karabinem i pistoletem. Za bramą, w oddali, widać było kręcących się robotników. Znakomita okazja!. "Litwin" i ja mieliśmy go rozbroić, pozostali - to osłona. Już miałem skrócić w stronę wartownika, gdy idący dwa kroki za mną "Litwin" ostro powiedział:

- Idź prosto, Niemcy jadą.

Odwrociłem głowę. Kątem oka zobaczyłem, że szosą, zza muru warsztatów, wyjeżdża wyładowany żołnierzami samochód terenowy z karabinem maszynowym na stojaku. Jechali szosą w kierunku Piastowa.

Cała nasza piątka miała szczęście, że "Litwin" w ostatniej chwili przed zrobieniem "skoku" na Niemca, objął się do tyłu i zobaczył ich. Po kilku sekundach samochód zniknął wśród drzew na szosie, my zaś wykonawszy "w tył zwrot", doskoczyliśmy z "Litwinem" do wartownika. Wyszarpnąłem hiszpana. Krótkie: "Hande hoch" było dla Niemca jednoznaczne. Niemiec, unosząc do góry ręce złożone jak do modlitwy, najczystszą polszczyzną powiedział:

- Panowie, nie zabijajcie mnie, ja mam żonę i dzieci!

Zabrałem temu polskiemu Niemcowi karabin, "Litwin" wyjął mu z kabury pistolet, ostro rozkazując:

- Masz się stąd nie ruszać przez pół godziny. -

Pobiegliśmy szosą wzdłuż muru warsztatów w kierunku stojących za drzewami zabudowań ulicy Rakowskiej i Górnośląskiej. Nikt za nami nie strzelał, robotnicy, którzy widzieli naszą akcję, krzyčili "Niech żyje Polska" i bili brawo. Repetując w biegu karabin zauważyłem, że na komorze nabojeowej jest wytłoczony napis "Radom, 1938r. nr 1342 (lub 1432 - dobrze już nie pamiętam) oraz maleńki polski orzełek. Przy repetowaniu jeden nabój tkwiący w lufie wypadł mi na szosę. Oczywiście nie zatrzymałem się, aby go podnieść. Z karabinem nie mogliśmy długo paradować. Ukryliśmy go więc w krzakach żywopłotu na ulicy Rakowskiej, przysypując piaskiem i zeschniętymi liśćmi. Zabranie go stąd trzeba było pozostawić na inną okazję. Zdobywczy pistolet wziął "Litwin". Była to piękna oksydowana dziewiątka z napisem "Darmstadt". (W domu próbowaliśmy go rozebrać, ale nikt z nas nie mógł tego dokonać).

Szliśmy polnymi drogami w kierunku Żbikowa. Było około jedenastej. "Sęp", "Brunet" i "Blondyn" mieszkali gdzieś w tym rejonie, więc postanowiliśmy się rozejść, mieliśmy się spotkać ponownie u państwa Piotrkowiczów około godziny 14, na dalszy ciąg akcji. "Litwin" i ja musieliśmy wracać na Cedrową. Koledzy oddali nam swoją broń, byliśmy z "Litwinem" obładowani pistoletami. Powrót do śródmieścia Pruszkowa na Cedrową wymagał przejścia przez jeden z przejazdów kolejowych. Postanowiliśmy wybrać drogę ze Żbikowa przez przejazd koło "Mechaników" (Dziś przejazd ten już nie istnieje). Gdy zbliżyliśmy się do przejazdu, nie dojrzelśmy nigdzie patroli niemieckich. Tylko z daleka widać było werkschutz przy portierni "Mechaników". Przechodząc przez przejazd, bardzo szeroki w tym miejscu i zbliżając się do budki dróżnika, zauważyliśmy, że z budki wychodzi polski dróżnik i zbliża się do kołowrotka opuszczającego szlabany. Za nim wyszedł z budki podoficer niemiecki z "rozpylaczem" i z blachą "Fledgendarmerie" na piersi.



Zza budki wyszło jeszcze trzech żołnierzy z karabinami i zaczęli rozmawiać z podoficerem. Dróżnik zaczął powoli opuszczać szlaban, wyraźnie czekając na chwilę, aż się zbliżymy. "Litwin" cicho powiedział:

- Jak nas zaczepią, przebijamy się na Stalową. Nie zaczepili. Przeszliśmy koło nich ze spuszczoneymi głowami, uważając na kieszenie obładowane pistoletami. Później koło werkschutza i w Stalową, wreszcie dalej na Cedrową.

Broń zostawiliśmy u państwa Piotrkowiczów, "Litwin" ruszył do siebie, na Cedrową 3. Ja przez płot wróciłem do fabryki. Zdażyłem na fabryczną obiadową zakupę. Siedziałem obok rozmawiających i jak zwykle żartujących kolegów z naszego warsztatu i analizowałem własne odczucia, rozmyślając, co to jest strach? Co daje wiara w Boga? Co daje modlitwa matki za swego syna, który rano wyjeżdża do pracy i tylko co kilka dni powraca do domu niewiele o sobie mówiąc... Co to jest przeznaczenie? Ale o tym kiedy indziej, strach - to temat sam w sobie. Na razie musiałem "zebrać się w sobie", bo przed godziną 14 miał być dalszy ciąg naszych przygód.

Spotkaliśmy się punktualnie. Każdy z nas miał tę samą broń, co rano, zśliśmy w tym samym szyku, co poprzednio i szukaliśmy łatwego łupu. Rozzuchwaliliśmy się nieco. Idąc ulicą Kościuszki, przeszliśmy koło parku Sokoła zapchanego niemieckimi żołnierzami i pojazdami. Od poczty aż do ulicy Prusa, pod drzewami stały niemieckie czołgi, wokół nich kręciła się załoga. Targały mną mieszane uczucia, gdy patrzyłem na niemieckich pancerniaków, ich sprzęt i wyposażenie. My mamy tylko pistolety, nawet niekiedy przerdzewiały. Oni, opierając się o pancerz swoich czołgów, trzymali w rękach piękne oksydowane automaty, paląc papierosy "Juno". Ludzie przechodzili między czołgami, dotykając palcami pancerzy. Ja zrobiłem to samo. Wśród żołnierzy byli i młodzi chłopcy, niewiele starsi od nas, ale większość stanowili opaleni mężczyźni o poważnym wyrazie twarzy i powściągliwych ruchach, czuło się, że są to wytrawni rzemieślnicy w zabijaniu swoich przeciwników.

W pewnej chwili podszedł do nas "Brunet".

- Muszę wracać do pracy - powiedział "Litwinowi".

W bramie drewnianego domu przy ulicy Kościuszki nr 15 oddał swój pistolet "Litwinowi". Dalej poszliśmy już po dwóch, "Litwin" ze mną, "Sęp" z "Blondynem". Na ulicy Prusa zobaczyliśmy trzech niemieckich kolejarzy z pistoletami. To było coś dla nas. Szliśmy za nimi w odległości około 30 m. Weszli po schodkach do baru przy ul. Prusa, w pobliżu skrzyżowania z ulicą Kraszewskiego. Stanęliśmy opodal czekając, co będzie dalej, wypatrując innych ewentualnych "dostawców" broni. Po chwili nasi Niemcy wyszli i poszli dalej Prusa, skręcając w ulicę Szczęsną (obecnie Al. Niepodległości). My za nimi. Szli lewą stroną ulicy, my po prawej. Zbliżaliśmy się

do skrzyżowania z ulicą Chopina. Z lewej strony drogi - pola parceli Nowowiejskiej, po prawej stronie park Sokoła, gdzie spostrzeżliśmy stojące samochody pancerne, przy nich żołnierzy. Niektórzy pozdejmowali kurtki mundurów. "Litwin" i "Sęp" nadal szli po prawej stronie ulicy. Ja, a za mną "Blondyn", przeszliśmy na stronę lewą, po której szli Niemcy. Idąc szybko doganialiśmy ich. Gdy dzieliły mnie od nich dwa czy trzy kroki, środkowy Niemiec obejrzał się do tyłu. Wyciągnąłem spod kurtki odbezpieczonego już wcześniej hiszpana i ostro powiedziałem:

- Halt! Hande hoch! - Dwóch z nich natychmiast stanęło, oglądając się do tyłu, natomiast trzeci, ten który się obejrzał, zaczął uciekać chwytając ręką za kaburę. Strzeliłem trzy razy, Niemiec upadł. Kątem oka dostrzegłem podbiegającego "Litwina".

Odpinając leżącemu Niemcowi pas z pistoletem, widziałem zachodzące powoli mgłą jego brązowe oczy. Pozostałych Niemców rozbrajali koledzy. Przebiegając ulicą Szczęsną skrzyżowanie z Chopina, usiłowałem w biegu pod moją kurtką zapiąć pas ze zdobytym pistoletem, ale coś się zacięło, przeszkadzał mi trzymany w rękę mój hiszpan. Przystanąłem na moment na chodniku przed oknami niskiego narożnego czerwonego domku (domek został rozebrany, pozostał po nim tylko zarys dachu na ścianie następnej, przylegającej doń kiedyś posesji ul. Szczęsnej). Zapiąłem zdobyczny pas z pistoletem, zabezpieczyłem i schowałem za pasem swojego hiszpana i pobiegłem za kolegami w kierunku ulicy Klonowej. Za rogiem już nie biegłem, szybko podszedłem do kolegów idących Klonową w kierunku parceli Nowowiejskiej. Przystanęliśmy na chwilę. Było już po godzinie 17, nie było już sensu wracać do fabryki po swoje ubrania i dokumenty, wszystko tam było pozamykane. Oddałem "Litwinowi" swojego hiszpana i zdobyczny pistolet a sam zdecydowałem się wrócić do Brwinowa piechotą przez pola parceli Nowowiejskiej. Szedłem polami. Po drodze złapała mnie burza. Ulewny deszcz przemoczył mnie całkowicie. Koło Otrębus wyszedłem na szosę, gdyż ciężko było iść polami a ponadto musiałem się spieszyć, aby dojść do domu przed godziną policyjną. W Brwinowie przy stacji była siedziba Schutzpolizei a ja swoje dokumenty miałem w fabryce. Gdy byłem już na skraju Pszczelina, usłyszałem warkot silnika samochodowego. Zza zakrętu wyjechał mały samochód terenowy, w nim sześciu żołnierzy z blachami "Feldgendarmerie", na stojaku karabin maszynowy z lufą do przodu. Taki sam, jak ten, który widzieliśmy przed rozbrojeniem wartownika warsztatów kolejowych. Schować się nie miałem gdzie, szedłem więc dalej. Przejeżdżający spojrzeli na mnie, byłem tak całkowicie przemoczony, że moje ubranie z niebieskiego zrobiło się tylko ciemniejsze, nie było widać, że jestem cały mokry. Przypuszczam, że wzięli mnie za robotnika rolnego i nie zatrzymując się pojechali dalej szosą w kierunku Pruszkowa.

Ostatni trudny moment przeżyłem przed samym domem. Gdy w Brwinowie skręciłem w ulicę Grodziską, z daleka zobaczyłem idących naprzeciw trzech Schupo. Robiło się już szaro, była punkt 20<sup>00</sup>, początek godziny policyjnej. Do furtki miałem około 30 metrów. Było już za późno na cofnięcie się. Musiałem iść naprzód. Nie przyspieszałem, tylko przysiadając wydłużałem krok, aby zdążyć wejść na podwórko, zanim dojdą do mnie. Byli ode mnie ze 20 metrów, gdy otwierałem furtkę. Nie wołali. Zdążyłem. Trzeba mieć szczęście.

W domu długo w nocy leżałem z otwartymi oczami, przeżywając po raz wtóry całą akcję, a najbardziej fakt zabicia pierwszego w życiu człowieka. Do dziś widzę - jak na taśmie filmowej - moment oddania strzałów. To nie halucynacja, ja widziałem jak sukno ugina się pod uderzeniami wystrzelanych przeze mnie kul. Rozrzut trzech pocisków tak mały, że można by nakryć pudełkiem od papierosów. A później te oczy koloru podobnego do moich, zachodzące mgłą. Czegoś uciekał, chwytając za pistolet?

W tę noc zrozumiałem, że miał rację pan Piotrkowicz mówiąc, że za młody jestem do wojaczki, że mogą mnie nie dopuścić do ważniejszych akcji. To był powód, dla którego wstępując do AK podałem, że jestem o rok starszy. Fizycznie byłem dojrzały, ale psychicznie - chyba nie.

Następnego dnia - a był to 1 sierpnia 1944r. - w odprasowanym dla wysuszenia ubraniu roboczym, bez dokumentów i biletu, pojechałem do fabryki. Ludzie w warsztacie rozprawiali o wściekłości Niemców, o wziętych zakładnikach. Ja tylko słuchałem, nie robiąc żadnych uwag.

Koło południa, gdy byłem na terenie fabryki, podszedł do mnie sympatyczny, znany mi z widzenia jeden z robotników fabryki.

- Panie Janku - zwrócił się do mnie. - To pan był w tej akcji na ulicy Szczęsnej. -

Zrobiłem zdziwioną minę:

- To nie możliwe, to musiał być ktoś bardzo do mnie podobny.

- E, co tam, rozumiem, że nie chcesz się przyznać, ale ja stałem w oknie swojego małego czerwonego domku na rogu ulicy Szczęsnej i Chopina. Jak usłyszałem strzały spojrzałem przez firankę. W odległości trzech metrów ode mnie stałeś na drodze, zapinając pod bluzką pas z niemieckim pistoletem. Byłeś nawet w tym samym roboczym ubraniu, w którym jesteś w tej chwili, z naderwaną górną kieszenią. -

Wyśmiałem go, ale czym prędzej poszedłem do kuźni, do pana Piotrkowicza i opowiedziałem mu o tej rozmowie. Po kilkunastu minutach wrócił pan Piotrkowicz i powiedział mi, abym się nie niepokoił, bo to "swój człowiek". Tak było w rzeczywistości, gdyż ilekroć spotykaliśmy się na terenie fabryki, przyjemnie się do mnie uśmiechał.

W 1955r., gdy pracowałem jako inżynier w BKPMot, wracając z pracy spotkałem kiedyś tego człowieka w tramwaju "21" - żerańskiej linii. Powiedział mi, że pracuje w FSO. Ja skłamałem mówiąc, że jestem przejazdem w Warszawie. Więcej go nie widziałem. Ale dziś chętnie bym się z nim spotkał, aby podziękować za dyskrecję.

## Biało-czerwoni i czerwoni

W różnych rejonach kraju różnie układały się stosunki między Armią Krajową a ugrupowaniami prosowieckimi. W Pruszkowie były - jak myśmy nazywali - "komórki czerwonych", ale niewiele o nich słyszałem. Z "czerwonymi" zetknąłem się bezpośrednio, pracując od roku 1943 do wyzwolenia w Fabryce Ołówków St.Majewski. Nie wiem, czy to była Armia Ludowa czy też inna, lecz o podobnej ideologii, organizacja. W czasie okupacji rzadko kiedy ktoś z konspiracji przyznawał się do takiej czy innej przynależności. Wiedzieliśmy tylko, że są to "czerwoni".

W fabryce "czerwonymi" dowodzili dwaj bracia Łukasikowie, Wacek i Józek. Ważniejszym był brat starszy, szpakowaty, zrównoważony, chyba to on miał na imię Wacek. Jego młodszy brat - Józek - był brunetem o nieprzyjemnie, z podełba patrzących oczach.

W 1944r., już po upadku powstania warszawskiego, gdy armia sowiecka stała nad Wisłą, któregoś dnia pan Wacek Łukasik zaprosił mnie na rozmowę. Był on majstrem w wydziale tak zwanych szarfmaszyn, a ja jako ślusarz remontowy, właśnie naprawiałem u niego jakąś zacinającą się maszynę do zaostrażania i polerowania ołówków. Stojąc przy tej maszynie pan Łukasik odezwał się:

- Panie Janku, widzi pan, że Rosjanie są już tuż-tuż, będą tu pierwsi niż pańskie rządy londyńskie. Porzuć pan tego Piotrkowicza i przyjdź pan do nas. Niech pan nie wierzy, że pierwszy przyjedzie tu Anders na białym koniu. My tu przecież rządzić będziemy. Jest pan młody, całe życie przed panem, przyjdź pan do nas.

Odpowiedziałem panu Łukasikowi, że na razie myślę tylko o pozbyciu się Niemców a na polityce się nie znam (i rzeczywiście nie znałem się), a będzie co Bóg da.

Ale oczywiście poszedłem do kuźni i opowiedziałem panu Piotrkowiczowi o tej rozmowie. Pan Piotrkowicz spojrział na mnie z ukosa, przypalając papierosa od trzymanego w kowalskich kleszczach żarzącego się kawałka koksu i powiedział:

- Panie Janku, a pamięta pan komu pan składał razem ze Staśkiem przysięgę?

Więcej nie było już potrzeby wracać do tematu poruszonego przez pana Łukasika, ale z rozmowy z panem Łukasikiem zorientowałem się, że ma on dobre rozeznanie, kto jest w fabryce kim i z kim. Przez cały okres pracy w fabryce nie stwierdziłem, żeby były jakieś donosy jednych na drugich, była koegzystencja, fakty to potwierdziły. Tak było do wyzwolenia, później sytuacja się zmieniła. Nie jeden z naszych kolegów akowców miał kłopoty, ale czy był w tym jakiś udział braci Łukasików, stwierdzić nie mogę. Faktem jest jednak, że pan Piotrkowicz po wielodniowej rozmowie z bezpieką stracił wszystkie zęby, a Stasiak miał odbite nerki. Mnie jakoś się upiekło, zawiruszyłem się gdzieś w wojsku, ale uratowało mnie chyba i to, że jakieś przychylnie polskie ręce zaraz po wyzwoleniu wrzuciły do pieca w kotłowni fabrycznej akta personalne około czterdziestu osób, w tym i moje. Powiedział mi o tym przed kilkunastu laty kierownik działu kadr fabryki, gdy zgłosiłem się do niego, zaczynając kompletować papiery do emerytury. Zapomniałem, jak on się nazywał. W czasie okupacji, jako młody chłopak, był pomocnikiem ogrodnika fabrycznego ogrodu. Pamiętałem go jako porządnego chłopaka. On był jedynym, któremu udało się uciec przez płot fabryczny, gdy 15 maja 1944r. nastąpiły aresztowania w fabryce.

Obecnie często z niesmakiem czytam w prasie i oglądam w telewizji zachowanie się i wypowiedzi niektórych ludzi, uważających się za polityków, mimo woli porównując ich poglądy z postawą i dążeniem ludzi, z którymi stykałem się w czasie okupacji.

Dbanie o dobro swojego kraju jest chyba zjawiskiem powszechnym w większości zorganizowanych społeczeństw, ale niekiedy - przy nadmiernych przerostach ambicji ich przywódców i rozsmakowaniu się w potęgde władzy - prowadzi do szowinizmu lub nawet zbrodniczych wynaturzeń. Jednak nawet taki Hitler w swoim politycznym testamencie, napisanym w Berlinie 29 kwietnia 1945r., na kilkanaście godzin przed popełnieniem samobójstwa, przypominał o konieczności służenia wspólnemu dobru, swojej ojczyźnie i stawiania swoich własnych korzyści na drugim miejscu.

Jakże dziwnie brzmią te słowa wojennego zbrodniarza, który chciał zniszczyć i polski naród, w zestawieniu z hasłami i żądaniami zaślepionych żądzą władzy ludzi uważających się za polityków, wykrzykiwanymi niedawno pod pomnikiem - o ironio - pełnego poświęcenia dla społeczeństwa polskiego Wincentego Witosa, czy też w zestawieniu - jak złośliwie podała prasa - z posłami biegnącymi niemal na wyścigi do sejmowej kasy po poselskie diety po ogłoszeniu przez marszałka decyzji o rozwiązaniu parlamentu.

A jednak być Polakiem trzeba się nauczyć, tylko że nie każdemu los dał możliwość zdobywania tej nauki i nie każdemu było dane przeżyć okres jej zdobywania.